



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

Z GŁĘBI DUCHA.

I.

A! Jesteś znowu; ja się już nie boję
Twojej przemocy, szamotań i znoju,
Zebrałam w duchu już tyle spokoju,
Że nieugięta dziś stoje!

Chcesz mnie zastraszyć ogniem twego tchnienia,
Chcesz mnie powalić, bezlitośna walko?
Darmo! Spokojną dziś jestem Westalką
Niespokojnego uczuć mych płomienia.
I tylko jedną masz nademną władzę,
Ty, co wymyślną jesteś i okrutną —
Że w chwili kiedy z tobą bój prowadzę —
Tak mi bezdennie jest smutno...

II.

Nie odchódź jeszcze! W tej stanowczej chwili,
Patrz, jakim śmiałym idę naprzód krokiem,
Ja chcę byś widział moim własnym okiem
Jak to się dziwnie szala cierpień chyli...

Jak to się życie jedną waży chwilką,
Jak boli czoło pod błyskawic wieńcem, —
Wszak ty nie jesteś moim sprzymierzeńcem,
Ty możesz patrzeć, jesteś widzem tylko!

Widzisz — jak teraz serce stoi hardo,
A teraz dusza broni się skrzydłami
Przed tem co hańbi i przed tem co plami
I w otchłań pokus spogląda ze wzgardą...

Widzisz... a teraz, serce pęka w dwoje,
Dusza na chwilę z wysiłku się mroczy...
Oh, teraz nie patrz... teraz zasłoń oczy...
Marzenia, szczęście... pieśni, pieśni moje!

III.

Ludzie! Jakżeście często, nędzni, mali,
Żwir waszej duszy ja od dawna znam,
Do walki znowuście mnie dziś wyzwali,
Pewni, że w końcu, ja ulegnę wam!

Dobrze! Ja wolę stokroć bój otwarty,
Wolę napięty i błyszczący grot,
Niżli podziemny, cichy, a zażarty
Podstępnych sideł gadzinowy splot.

No! dalej naprzód! Czegóż się lękacie,
Czy mojej prawdy czy mojej odwagi?
Na ustach kłamstwo, a w piersiach strach macie,
I w proch was zetrze oręż prawdy nagi!

Szczęśna

Gliński w dramatach.

3 okazyi wystawienia „Almanzora.“

Chmielowski w przedmowie do „Współczesnych poetów polskich“ nie wie czy dzisiejsza poezya nasza wróży nową wiosnę pieśni? czy zapowiada rozkwit twórczości w tym kierunku tak lekceważonym do niedawna, w obec nad miarę rozwielnionej powieści? Otóż mnie się zdaje, że wróży! Istotnie: każdy, śledzący z uwagą rozwój dzisiejszej poezyi naszej, przyznać musi, że od czasów wielkiej Mickiewiczowskiej doby nie mieliśmy tylu i tak wysoce utalentowanych pieśniarzy współczesnych sobie, ilu ich mamy dzisiaj.

Czesław Jankowski bardzo słusznie zauważył przed kilkoma laty, pisząc o poezyi najnowszej w jednym z tygodników, że tylko przez brak krytycyzmu, a może bardziej jeszcze z powodu bezwzględnej uwielbienia dla epoki rozkwitu romantycznej poezyi naszej przeceniamy dawnych, a nie doceniamy terażniejszych poetów. To prawda najzupełniejsza! Tacy: Garczyński, Gaszyński, Gosławski, Magnuszewski i wielu innych nie tylko, że nie przerosli przedstawicieli dzisiejszej poezyi polskiej, ale, co większa, do ramion im nawet nie dorosli! Trzeba nareszcie przejrzeć, trzeba uważniej i poważniej nieco zapatrywać się na tych „pariasów“ literatury, jak trafnie poetów nazywa Tetmajer, — i nie narzekać ustawicznie na zanik pieśni wówczas, kiedy ona rwącym płynie strumieniem, by wkrótce już może pomimo zapor i tam, których tyle napotyka na swej drodze, w majestatyczną, wielką, wspaniałą rozlać się rzeką!

Mamy lirykę, mamy epikę, mamy poetów grających, jak mistrze, na śpiewnej lutni, ale w chórze zgodnym, imponującym jeden głos odzywa się najślabiej, ale z siedmiu strun lutni jedna najciszej dzwoni: najważniejsza, najwyższa!

Dramat, tragedia rzadkie to u nas zjawiska! Tak było dawniej, tak jest i dzisiaj! Na palcach nie ledwie policzyć-by można dzieła sceniczne od czasów Mickiewicza do dni naszych, gdybyśmy rzecz prosta—liczyli to jeno, co na zawsze w skarbcu literatury polskiej zostanie.

Pośród współczesnych poetów naszych prawie że jedynym, a w każdym razie najwybitniejszym dramaturgiem jest bez zaprzeczenia Głiński. Tęlot to wielki, zdrowy, krzepki; poeta o szerokiej piersi i szerokim oddechu. Pieśniom jego obca jest neurastenia i niedokrwiłość; czerstwe są one i dzielne tak, jak ich autor pod niebem Ukrainy zrodzony i ludzi dawnego minionego pokolenia sercem, duchem, zapalem przypominający.

Głiński gra na całej lirze: od dowcipnej frazki do potężnej i przepięknej „królewskiej pieśni,“ od tryskającego humorem „Szaławilę“ do tragicznego „Almanzora“ i „Bolesława Śmiałego.“ Zadziwiająca organizacja poetycka! żart, jęk, płacz, śmiech, barwy najjaskrawsze i najchmurniejsze—wszystko to przewija się w jego lirykach, komediach, poematach, dramatach. Pod względem zewnętrznym t. j. pod względem formy zaliczyłbym Głińskiego do typu Juliusza: ma on tę barwność obrazów, tę cudowną melodyę wiersza, tę łatwość rymowania, która cechuje Słowackiego; pod względem jednak wewnętrznym zbliża się on stanowczo do typu Mickiewicza: ma jasność, trzeźwość, zdrowie, nie lubi mgieł mistycznych i sentymentalizmu.

Pisał o tem niedawno Lange w pięknym swem studyum o współczesnych poetach polskich.

Dzieł scenicznych (bo o działalności jego w tym właśnie kierunku pisać zamierzam), ma Głiński dotąd w dorobku swym literackim ośm: tragedye: „Oblakani,“ „Almanzor,“ „Bolesław Śmiały;“ dramat: „Anna Firlejówna;“ komedye: „Dla czego?“ krotoczwile: „Szaławila“ i dwa obrazki dramatyczne: „Z walk życia“ i „Chata Nikodema.“

Jak widzimy dorobek spory, zwłaszcza, że Głiński jest człowiekiem w rozkwicie męskiego wieku i że oprócz wymienionych, znanych już z druku, bądź też ze sceny utworów posiada w swej tece kilka prac przedziwnie pięknych, z których tragedia „Głińscy“ na tle historycznym i tradycyi rodzinnej osnuta (poznałem ją, dzięki uprzejmości autora) jest, według mnie, prawdziwym arcydziełem.

Głiński nie lubi „dzisiaj,“ źle i niewygodnie mu we fraku: za ciasno! za duszno! Jemu szerokich potrzeba przestrzeni, słońca, nieba wielkiego, serc ogromnych, duchów orlich, grzmotów, błyskawic, piorunów: on kocha „wczora!“

To też z niewyczerpanej skarbnicy przeszłości zaczerpnął Głiński tematów do najwspanialszych swoich utworów. Dawne wieki oczarowały go. Lepiej mu z tem, co zmarło, niżli z tem, co żyje. To cecha wielkich i wyniosłych duchów!

Nie rozumiem jednej rzeczy: są ludzie, którzy odrzucają wszystko co nie współczesne! Dla nich nie istnieje historia! Tymczasem, zdaje mi się, że dzieła na tle historycznym osnute mają wartość niepożyta (naturalnie o tyle, o ile są napisane z talentem). Przedewszystkiem w przeszłości mamy postacie olbrzymie, o jakie dziś trudno, powtórę mamy kolor, co dla dzieł sztuki jest rzeczą niewymownie ważną, po trzecie wreszcie mamy idee, żywioł bohaterski, ogromną moc, ogromne uczucia...

Historja—to największa filozofia! Tłómaczy to co było i uczy o tem, co będzie! Trzeba tylko żyć się z nią, trzeba ją umiłować, a wtedy od-

śloni ona swoim wiernym takie tajniki o jakich się—po szekspirowsku mówiąc filozofom nie śniło!

Głiński jest jednym z wiernych—i to z najlepszych! On kocha wszystko, co wielkie! Dlatego też tajemnice przeszłości jasne mu są i przezroczyste jak kryształ.

Tu słówko złośliwe:

Niechże się nareszcie krytycy nasi—wielcy i nieomylni—wzycytają w jaki taki lepszy cokolwiek podręcznik historyczny; niech wreszcie, pisząc i o pracach z historją związek mających, zajrzą do encyklopedyi chociażby... Publiczność uwagi na zwrot ku lepszemu może nie zwróci, ale ta garstka nieliczna, która uczyła się i uczy mniej dla nich mieć będzie... uśmiechów pobożania i... litości...

A teraz przechodzę do ścisłego przeglądu tragedyi Głińskiego.

Artur Oppman.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Ś. p Eleonora hr. Kounicowa.

Znowu nieubłagana śmierć wyrwała ofiarę z grona czeskich zasłużonych kobiet w osobie Eleonory hrabiny Kounicowej. Ten niezwykły typ arystokratki zasługuje na bliższe poznanie. W ogóle czeska szlachta, która po wojnie pod Białą Górą nie wyemigrowała zniemczyła się do tego stopnia, że nietylko przyjęła obyczaje i język niemiecki, ale pozmiała nawet nazwiska na czyste niemieckie. Dotąd też większość arystokracji trzyma się starej zasady, małe tylko wyjątki uznają się Czechami i przyjmują czynny udział w sprawach narodowych. Do tych zaliczyć można księcia Lobkowica, hrabiów Harracha i Łazanskiego, do nich też należała ś. p. Eleonora z hrabiów Voracickich hr. Kounicowa.

W domu rodziców ś. p. Eleonory panował duch czeski. Dzieci umiały dobrze po czesku, uczyły się dziejów ojczystych, dla tego też Eleonora czuła się czeszką i zawsze z dumą przyznawała się do tego. Poślubiwszy hr. Kounica, także dobrego patriotę dzieci swe po czesku wychowała. Gościnne podwoje Kouniców chętnie witały czeskich uczonych i literatów. Dzieje i sprawy narodowe zawsze były znane ś. p. Eleonorze i czynny też w nich udział przyjmowała. Po śmierci męża wychowanie dzieci i sprawy ojczyste stały się jedynym celem jej życia. Na starość zaś praca w duchu patriotycznym była dla niej źródłem pociechy w ciężkich strapieniach jakich jej los w życiu rodzinnym nie skąpił, z dziesięciorga bowiem jej dzieci żyje tylko czworo.

Do ostatniej chwili zacna ta pani nie ustawała w pracy. Należała ona do wszystkich patriotycznych stowarzyszeń, a jeżeli nie mogła brać czynnego udziału w wytkniętem przez nie celu, to przynajmniej hojnie wspierała je materialnie.

Zmarła dnia 10 stycznia b. r. w 89 roku życia tak spokojnie i cicho, jak żyła.

We wspaniałym pogrzebie wzięły udział wszystkie warstwy społeczne zacząwszy od arystokracji, którą łączyły z nieboszczką związki rodowe, aż do najbiedniejszych, których sprawadziły wdzięczne serca. Między towarzyszącymi korporacyami nie brakowało i socyalnych demokratów, którzy za godło mieli zatknięte w dziurkach surdutów ponsowe gwoźdźki.

Miasto Praga w dowód uznania jej zasług uiluminowało latarniami i posypało piaskiem ulice, któremi przechodził kondukt żałobny. Prócz mnóstwa wieńców, które złożono na osobnym

wozie, stowarzyszenia kobiece całą trumnę okryły wstęgami od wieńców i bukietów, które ś. p. Eleonorze ofiarowano na ostatnie urodziny 26 stycznia 1897 r. Ten wspaniały płaszcz jako dowód czci i wdzięczności spuszczone wraz z trumną do grobu. Zwłoki złożono na cmentarzu Wyszehradzkim, który nieboszczka przełożyła nad groby rodzinne. Tam obok innych zasłużonych działaczy na niwie, ojczystej spoczęła ta szlachetna rodem, sercem i duchem czeska.

Antoska.

BEZKRÓLEWIE

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

w 2-eh częściach

przez

Maryę Łopuszańską.

(Dalszy ciąg).

VIII.

Hetman późno w noc powrócił do obozu z zamku, gdzie widział się z królową oraz posłami szwedzkimi. Był on w niemniejszych kłopotach, jak Zborowscy, bo sam na swoich barkach wynosił cały ciężar spraw publicznych, własnym kosztem zaciągając żołnierza, gdyż posłowie szwedzcy nie chcieli wydać dla utrzymania elekcji swego księcia. Zborowscy, domyślając się trudności, w jakich się znajdował przysłali do hetmana posła brandeburskiego, Lewina Bullau. Ten obiecywał, że Zborowscy zrzekną się wszelkich pretensyi z powodu śmierci Samuela, byle tylko Zamojski zgodził się na obiór Maksymiliana, albo przynajmniej usunął się z pola elekcji ze swemi hufcami. By zaś nie obrazić Szwedów uradzono związek małżeński między dwoma domami, to jest Anna, siostra Zygmunta, miała wyjść za arcyksięcia.

Zamojski nie dał odrazu stanowczej odpowiedzi, chcąc wpięć naradzić się z królową oraz zapytać wręcz posłów szwedzkich, czy mają zamiar stanowczo popierać obiór swego królewicza, gdyż w listach, pisywanych do królowej Anny, król Jan zdawał się niezdecydowanym jeszcze, czyli ma wysłać syna do Polski, chociaż matka życzyła sobie bardzo, by Zygmunt panował w jej dawnym kraju rodzinnym.

Hetman więc udał się do zamku, szukać pomocy w swych troskach u królowej Anny. Zastał u niej obu posłów: Eryka Spare i Eryka Brahe,—przedstawił więc otwarcie cały stan rzeczy, mówiąc, że jeśli tak dalej trwać będzie, to on nie zdola zaradzić temu nawałowi trudności, gdyż wszystkie zasoby jego już się wyczerpały, a stronnicy Zygmunta, zniechęceni długim czekaniem, poczynają się rozjeżdżać.

Sędziwa królowa odpowiedziała mu ze smutkiem, że już wydała sto tysięcy złotych z własnej szkatuły na popieranie elekcji siostrzeńca i że nie jest w stanie coś więcej przydać. Posłowie zaś tłómaczyli się, że żadnych zasobów pieniężnych od swego króla nie otrzymali, jednak postarali się czterdzieści tysięcy złotych od Gdańszczanów pożyczyc, dodając, że należy wkrótce się spodziewać przyjazdu Zygmunta.

Hetman zrażony ich obojętnością, nie mając znikąd poparcia, udał się jeszcze do posłów siedmiogrodzkich, którymi byli: Wolfgang Kowacki, kanclerz i Gaspar Lorus. Zostając z nimi w przyjaznych stosunkach, teraz u nich szukał rady w swych troskach. Siedmiogrodzianie nie nawidzący Austrii, zachęcali go, by trwał przy obiorze Zygmunta, jeśli już tak losy chciały, że

żaden z domu Batorych nie mógł liczyć na stronników.

Powróciwszy więc w nocy do obozu, wedle swego zwyczajowi w samotności począł się zastanawiać nad całą sprawą, starając się wybrnąć z niepewności w jakiej się znajdował.

W namiocie płonąło ognisko, z powodu iż noce zaczynały już być chłodne, hetman usiadł przy nim i zapatrzony w płomień, pogrążył się w ciężkich myślach.

Stanął on w tej chwili na rozdrożu i niepewność go ogarniała, tedy krok ma obrócić. Z jednej strony brak wszelkiego poparcia i zniechęcenie stronników Zygmunta, którzy znużeni wyczekiwaniem, tłumnie opuszczają pole elekcji. Niedawniej jeszcze jak wczoraj marszałek wielki litewski a z nim niemało szlachty tamtejszej odjechało, nie mogąc się doczekać końca. Senatorowie, nietylko litewscy i pruscy ale polscy nawet wycieńczeni wydatkami, rozjeżdżają się, każdy w swoją stronę; szlachta również narzeka, że ma w domu robotę, a tu ją trzymają tak długo, więc też sporo jej codziennie ubywa. Hufce także zmniejszają się z dniem każdym, bo żołdu niema czem płacić, przytem kraj ogłodzony znacznym wpływem ludności, drożyzna, — korzec zboża kosztuje czerwony złoty, — gdy tak dalej potrwa nie będzie w końcu czem karmić tyle ludzi.

Z drugiej strony partya Maksymiliana silna, zasobna w pieniądze i wojsko, sama ofiaruje mu przymierze, byle tylko dał głos za arcyksięciem, lub też nie przeszkadzał przynajmniej jego obiorowi. Listy jakie Maksymilian dotąd pisywał do hetmana pełne były najświetniejszych obietnic oraz wynurzeń przyjaźni; arcyksięciu zdawało się to mocno na sercu leżeć, by zjednać sobie Zamojskiego oraz obie strony zwaśnione pogodzić.

— Co czynić? Co czynić? — zapytywał siebie hetman w duchu, wciąż zapatrzony w płonące przed nim ognisko. Czuł, że gmach, który on jeden tylko podtrzymywał swem ramieniem, chwia się; obiór Zygmunta wisiał na włosku. Zborowscy już nawet pewni byli, że dziś, jutro Zamojski poda im rękę i zgodzi się na Maksymiliana, sądząc, że temporyzował tylko przez politykę, — a on tymczasem łamał się z myślami i sam nie wiedział co począć.

Właściwie wedle serca mu był jeden tylko kandydat, a tym był synowiec króla Stefana; kardynał Batory, ale skoro się przekonał, że o jego obiorze nie ma co nawet myśleć, z przychyny niewytłomaczonej niechęci szlachty, wszystkie swe siły skierował ku poparciui elekcji Zygmunta.

Nie dlatego nie chciał Maksymiliana, że go podtrzymywali Zborowscy, — Bóg widział, że chętnie byłby ku nim wyciągnął rękę do zgody, dla dobra pokoju, — lecz czuł jakiś dziwny wstręt, gdy pomyślał, że na miejscu Jagiellonów zasiądzie Niemiec — nie mógł sobie nawet wyobrazić tego. On; człowiek rozważny i chłodny, polityk, uległ tym razem wrażeniu, nad którem rozum nie mógł zapanować; jego szlachecka natura wzięła nawet górę nad polityką.

Przytem w duszy jego podniosło się inne jeszcze uczucie przeciwko arcyksięciu, a mianowicie duma. W tej chwili ona może najwięcej przeszkód stawiała przeciwko zgodzeniu się na obiór Maksymiliana. Człowiek tej co Zamojski miary, nie mógł znieść myśli, że król nowoobranany komu innemu, a nie jemu, będzie zawdzięczał wszystko. Zborowscy staną przy tronie, Zborowscy, jego najwięksi wrogowie, zajmą najpierwsze stanowiska w kraju, a on czem będzie wówczas, on, który, gdyby tylko zechciał pójść za podszeptami ambicyj, mógłby zamiast Zygmunta, siebie za kandydata do tronu ogłosić? Ale on, tak jak Warwick w Anglii, wołał zamiast królem, być „twórcą królów“ i pieścić duszę dumną myślą, że naród z jego ręki posiada monarchę.

I tak względy na dobro publiczne oraz osobista duma i ambicyja ważyły się w umyśle hetmana przez całą noc: na jednej szali położył kandydaturę Zygmunta tak słabo popieraną własną przyszłość, oraz obawę przewagi austriackiej,

która tak zgubną już się stała dla Czech, Węgrów i Siedmiogrodu. Na drugiej kandydaturę potężnego Maksymiliana, oraz strach przed wojną domową, jaka niechybnie wybuchnie jeśli arcyksiężę nie zostanie wybrany.

Szale długo wahały się, nie przechylając się na żadną stronę; a tymczasem już i ranek zaświtał i przez otwór namiotu zajązrał błękitnawy brząsk. Hetman owinał się w delię i wyszedł przed namiot; świeży wietrzyk przedwschodowy poruszał liśćmi kilku wierzb, rosnących w pobliżu; niebo było białe, tylko w jednej stronie różowiło się wąską smugą, a w dali tam gdzie mgła gęsta wisiała nad Wisłą, zarysowały się szare mury Warszawy. Cisza, leżąca nad temi polami miała coś kojącego w sobie.

Nagle z wieży S-go Jana rozległ się dzwon poranny; odpowiedziały mu dzwony Bernardynów, Karmelitów oraz innych klasztorów i kościołów. Miasto zbudzone ze snu, zaczynało się modlić.

Hetman także pochylał głowę i modlił się w pokorze. W tej chwili odczuwał w całej pełni jak ciężką rzeczą jest władza, jak straszna odpowiedzialnością jest mieć na sumieniu losy narodu.

Jeszcze nie skończył modlitwy, gdy w ranem półświecie ujrzał przed sobą jakąś postać. Ze zdziwieniem poznał w niej prymasa. Nim jeszcze co zdołał wyrzec, prymas zbliżył się doń, zapytując:

— O czymże dumacie, mości hetmanie?

— Księżu prymasie, — odrzekł hetman powolnie, — prosiłem właśnie Boga, by raczył rozświecić mój umysł, iżbym wiedział co czynić, gdyż wyznaję, że ludzki rozum tu nie podolea.

— I Bóg wam odpowie, mości hetmanie, przez usta swego kapłana, — rzekł poważnie prymas, — Quare dubitasti? Naród czeka, ja gotów jestem uświęcić twój wybór, nie wahaj się więc dłużej; ogłoś królem tego, kogo naród cały pragnie za pana! Skoro najwyżsi dostojnicy w Rzeczypospolitej; świecki i duchowny, zgodnie z chęćmi narodu okrzykną króla, wówczas obiór ten jest świętym i nikt obalić go nie zdoła.

Słowa te wydały się hetmanowi jakby głosem z nieba; prymas bowiem w tym wypadku postąpił ze śmiałością, niezwykłą jego naturze, jakby rzeczywiście idąc za natchnieniem wyższem... Postanowił więc skorzystać z tego usposobienia i odrazu przeciąć wszelkie wahania...

— Jacta alea est! — powiedział sobie w duchu, jak Cezar i poszedł natychmiast, ty wydać potrzebne rozporządzenia w obozie.

Prymas, pożegnawszy go, pojechał śpiesznie do zamku, by Zborowscy nie spostrzegli jego kroku.

Niedługo potem w obczynie hetmańskim zatrąbiono; wszystkie hufce, odziane w zbroje, wystąpiły z szańców po kolei i w największym porządku. Z drugiej strony pułki Opalińskiego, Dulskiego i książąt Ostrońskich ciągnęły również na miejsce, gdzie „Koło Czarne“ zgromadziło się już oddawna na narady.

Na wezwanie hetmana poczęli się tam schodzić także senatorowie, stronnicy jego, mianowicie: biskup kamieniecki, Wawrzyniec Gościcki, biskup przemyski, Wojciech Baranowski i inni biskupi, prócz Woronieckiego, nominata kijowskiego, zasiadającego w „kole generalnem.“ Za nimi przybyli wojewodowie: mazowiecki i krakowski, oraz wielu kasztelanów i starostów, w końcu licznie zgromadzona szlachta. Przybył wreszcie i prymas z zamku.

Słońce już zeszło i jasnem oblało światłem ten obraz zalewając blaskiem całą równinę, gdzie wszystkie województwa, prócz Litwy, ustawiły się zwykłym porządkiem na koniach.

Czekano tylko na Chlebowicza i na Sapiechę, którzy obiecali królowej skrycie, iż niemało szlachty litewskiej przeciągną na stronę Zygmunta.

Mijały jednak godziny, a litwini nie przybywali; słońce stanęło już na południe, gdy od strony obozu przeciwnego ujrano wysuwające się hufce Zborowskich, Górki i innych ich stronników.

Na ten widok trwoga objęła prymasa; powstał z miejsca, wołając przerażony:

— Mości panowie, spieszmy się z elekcyą, bo niema czasu do stracenia!

Posłano więc po Litwinów, ale ci odpowiedzieli, że zajęci są jednaniem sobie szlachty i że zaraz przybędą. Tymczasem wojsko Zborowskich stanęło w niewielkiej odległości, jakby czekając, co dalej będzie.

Wtedy arcybiskup, wskazując na ich szeregi, zawołał:

— Widzicie, że nie mam na sobie ani pancerza, ani żadnej broni, przyszedłem tu wezwany przez was, osądziście, że obecność moja potrzebną jest tutaj dla Rzeczypospolitej, użyjemy jej więc, bo czas pono nastal!

Hetman, widząc, że prymas trwożyć się zaczyna w swoim postanowieniu, zawyrokował, by nie czekać dłużej na Litwę, wiedząc zresztą, że przyjmie ona Zygmunta, jeśli nie z wielkim zapalem to bez wstrętu.

Rzekł też, biorąc nagle postanowienie:

— A więc w imię Boże, przystąpmy do elekcji!

Wówczas pan Paweł Orzechowski, cześnik chełmski, który był obrany marszałkiem Koła Czarnego, wsiał na koń i objeżdżając po kolei województwa, zatrzymywał się przed każdym, pytając:

— Panowie bracia, czy chcecie, by Zygmunt, król szwedzki, był obran królem naszym?

— Chcemy! — odkrzykiwano dokoła.

Gdy wszystkie województwa dały swój głos, prymas stanawszy w środku, uroczystie obwołał królem Zygmunta.

— Niech żyje! — rozległ się okrzyk stu tysięcy piersi, — i płynął ciepłym, letnim powietrzem do brzegów Wisły, aż rozbił się wreszcie o mury miasta, radując mieszkańców, którzy ciekawie zgromadzili się na walach — i pochwycony w locie, powtórzył się jeszcze tysiąc razy na ulicach, przeszedłszy w końcu w gwar miejski.

Zupełnie inne uczucia wywołał ów okrzyk w kole generalnem. Nieme osłupienie, które zapanowało tu zrazu, przeszło wkrótce we wściekłość nieopisaną.

Pierwszy porwał się marszałek nadworny i dosiadłszy konia, poskoczył ku swoim hufcom, chcąc zaraz ruszać na Zamojskiego, Górka uwił się pomiędzy szlachtą, wołając:

— Idźmy, panowie bracia! Zamojczyki bez nas osmielili się króla okrzyknąć! Odemścijmy taką zniewagę praw naszych.

— Cóż to? — wołał Gaspér Dembiński. — Zamojski myśli, że prawem kaduka narzuci nam króla? Nic z tego — nie pozwolimy!

— Nie pozwolimy! — krzyknęły tłumy. — Dalejże na nich!

— Na szablach ich roznieść! — rozległ się wściekły wrzask.

Tysiące szabel zabłyszczało na słońcu i niewiadomo do czegoby doszło, bowiem marszałek, podczaszy i wojewoda poznański podniecili wciąż szlachtę i rozgorączkowany tłum gotów był wpaść na senat, kiedy kilkunastu ludzi umiarkowanych i dobrej woli rzuciło się, by zażegnać tę powódź, która groziła straszną klęską...

Jazłowiecki, przedzierając się przez wrzeszczącą zgraję, dostał się do Krzysztofa Zborowskiego, który z podniesioną szablą, na czele swej jazdy, kazał już dać hasło do ataku na hufce hetmańskie.

— Mości podczaszy, co czynicie? — zawołał, chwytając jego konia za uzdę.

— Co? — wołał wściekle, napół nieprzytomny z gniewu Krzysztof. — Idę zemścić się za zuchwalstwo tego szlachetki, tego kanclerza, co nam narzucać śmie królów! Puszczajcie mię, chcę szablę swoją umaczać w krwi jego!

— Ależ to szalenstwo! — rzekł, wciąż przytrzymując go, Jazłowiecki. — Choćbyście wpadli nawet i zabili kanclerza, to cóż? Hańba spadnie tylko na waszą głowę, na całe nasze stronnictwo i wszystko co jest jeszcze uczciwzego w naszej partyi, odstrychnie się od nas na wieki.

Mówił głosem nieco niższym, przekonująco, ale słowa jego odbiły się tylko niewyraźnie o uszy pana Krzysztofa wciąż szalejącego.

— Nie puszczać! — rzekł Jazłowiecki, silnie trzymając za udeję jego konia, bo chcecie popelnąć szaleństwo.

— A jednak pójdę! — ryknął dziko Krzysztof.

— Pójdziecie, ale sami, jeśli chcecie, rzekł z mocą Jazłowiecki.

— Nie, pójdą za mną wszyscy: moje pułki, moich braci, wojewody Poznańskiego.

— Moje się nie ruszą ani na piędź, rzekł Jazłowiecki, stanowczo.

— Jako, więc zdradzacie sprawę?

— Nie, tylko nie chcę mieć nic wspólnego z waryatami, odrzekł spokojnie Jazłowiecki. — Zamiast, nie tracąc czasu, zebrać radę i postanowić co czynić wypada, wy krzyczycie, miotacie się jak szaleni, a czas upływa.

I to są dostojnicy, senatorowie, koła rycerskie! Wstyd mi doprawdy za was i za partję naszą!.. Czy już wszystko zgubione bez ratunku? Czy jak się ma głowę na karku, nie potrafi się wynaleźć sposobu na to, co się stało?

Krzysztof Zborowski zdawał się upamiętywać tymi słowami, zatrzymał się, pytając:

— A cóż czynić? Wszak oni już okrzyknęli króla?

— To cóż z tego? a my okrzyknijmy drugiego. — Obaczmy kto swego utrzymać potrafi.

Inni, którzy się znajdowali, obścapił dokola starostę Śniatyńskiego.

Powoli gniew zaczął zeichać, ustępując miejsca zastanowieniu. Zaczęli się kupić i naradzać pocichu.

Gdy się to działo, w kościele św. Jana zgromadzona szlachta i lud słuchali uroczystego Te Deum, odśpiewanego na podziękowanie za szczęśliwy obiór króla. Mury obszernego kościoła nie mogły pomieścić licznej tłumy, — senatorowie duchowni i świeccy wspaniałym orszakiem otaczali ołtarz, a na każdej twarzy widna była radość; choć nie wszystkie trudności jeszcze były przełamane. Ale ufano, że Bóg ochroni kraj od burz wojny domowej, która dotąd wisiała jak groźna chmura nad głową.

Nie mało jednak pozostawało trudności do zwalczania.

Litwa nader była obrażona, że bez niej odbyła się elekcja i ledwie ją można było uchodzić. Zborowscy ze swej strony złożyli walną naradę, na którą wezwano posłów rakuzkich, zapytując, czy pan ich nadal będzie wspierał pieniędzmi swój obiór i czy elekcję na dalszy czas odłożyć, lub też natychmiast arcyksięcia królem ogłosić? A że Zamojski z rana jeszcze przed elekcją posłał przez Reinholda Heidenstejna odmowę tymże posłom, więc też gorąco oświadczyli teraz, że arcyksiężę wszelkimi siłami gotów jest wybióć swój popierać.

Poczem Zborowscy na nowej naradzie postanowili, by wniesić do paktów konwentów usunięcie wyroku banicy na Krzysztofa oraz ukaranie Zamojskiego za śmierć Samuela.

Wreszcie po kilkudniowych, burzliwych naradach, dnia 22 Sierpnia zwołano senat i koło rycerskie na miejsce poświęcone niegdyś przez prymasa, gdzie zwykle zbierało się koło generalne. W senacie zasiadli: Jan Zborowski, kasztelan gnieźnieński i brat jego, Andrzej, marszałek nadworny, siostrzan ich, Marcin Ostroń, kasztelan kamieniecki, Górka, wojewoda poznański, Radziwiłł, wojewoda trocki. Z duchownych dwóch tylko senatorów przybyło: Woroniecki, nominat biskup kijowski i kardynał Radziwiłł.

Cały dzień ciągnęły się obrady, bo wielu stronników nawet koła generalnego sprzeciwiało się elekcji w takich warunkach.

Wreszcie wieczorem biskup Woroniecki wyszedł z senatu i stanawszy wśród koła rycerskiego, zawołał:

— Niech żyje Maksymilian, król polski i t. d. Nieliczne okrzyki odpowiedziały mu: „Niech żyje!“ — wielu bowiem było takich, co ten obiór za nieprawę uważali. Poczem Górka zaprosił panów i szlachtę do siebie na ucztę, która późno

w noc trwała; pili zdrowie Maksymiliana i przepowiadali zgubę Zamojskiemu.

Nazajutrz kardynał Radziwiłł zaintonował Te Deum w kościele bernardyńskim, a marszałek ogłosił obiór króla zgromadzonemu ludowi, który to jakoś bardzo obojętnie przyjął.

Zamojski, spisawszy Reces, czyli obwieszczenie do kraju całego, wezwał do zamku posłów szwedzkich, by z nimi ułożyć warunki. Następnie wysłał do Szwecji dawniej już tam znane Lesniowolskiego w liczny i wspaniałym orszaku młodzieży. Inni zaś senatorowie czekać mieli nowego króla w Gdańsku i oddać mu Pakta konwenta.

Jednocześnie na przedmieściu Zborowscy również spisywali ugody z posłem cesarskim, Tyffenbachem i zbierali poselstwo do arcyksięcia.

W mieście, w kraju całym powstał ruch radosny, wszędzie przygotowywano się na przyjęcie Zygmunta, niecierpliwie oczekując jego przyjazdu. Zdawało się, że z tym przyjazdem wszystko złe ustąpić musi.

Dotąd jednak nie okrzyknięto ludowi króla, gdyż marszałek Opaliński, do którego to należało, był nieobecny; odwlekało się to więc długo, aż wreszcie jednego dnia, w kościele św. Jana, po mszy skończonej, Zamojski, odziany we wszystkie insygnia kanclerza królestwa, powstał z miejsca swego i przystąpiwszy do wielkiego ołtarza, uroczyste obwiesił zgromadzonemu ludowi obranemu króla.

Gdy głos kanclerza dał się słyszeć wśród głębokiej ciszy pod sklepianiami kościoła, królowa Anna, klęcząca w pobliżu, rozpłakała się z rozczulenia na myśl, że siostrzeniec jej, dziecię ukochanej siostry, zasiędzie na tronie, zajmowanym niegdyś przez jej ojca i brata. Oddawna sercem całym tego pragnęła, a teraz chciało się jej zawołać do ludu:

— Oto ostatnia latorośl Jagiellów rodu, — Kochajcie go, tak jak ja was kocham!

I pochyliła głowę sędziwa królowa, modląc się za szczęście tego nowoobranego króla.

Zamojski również był wzruszony, a przytem czuł się dumny, że pomimo olbrzymich trudności zdołał wprowadzić na tron nowego monarchę.

Któżby inny tego dokonał? — Któż inny zdobyłby się na tyle mocy i wytrwania?

I przed okiem jego przesunęły się olśniewające obrazy: chwała u świata, wdzięczność narodu, wdzięczność tego młodego króla, który wszystko mu winien...

Był przekonany, że otrzymał wówczas natchnienie z nieba, i uważał się za przeznaczzonego przez Boga na to, by bronił, osłaniał, strzegł ten kraj, za którego pomyślność sam zdawał się być tylko odpowiedzialny.

To też sądził, że przed Bogiem jednym powinien zdawać sprawę ze swych czynności, przed Bogiem jednym uchylać głowę, która wobec ludzi podnosiła się zawsze bardzo wysoko. Cała jego postać zdawała się mówić do narodu.

— Daję wam króla; — z mojej to ręki go otrzymujecie!

Chorąży także znajdował się w kościele w czasie tej uroczystości, a wzrok jego z uwielbieniem spoczął na wielkim hetmanie, który mu się w tej chwili wydał mężem opatrnościowym. Tuż obok niego stał siwy mieszczanin, wsparty na lasce i chorąży słyszał, jak wyrzekł do swego sąsiada:

— Niech Bóg błogosławi wielkiego hetmana i daje mu zdrowie w jak najdłuższe lata, bo on to wszystko uczynił!

Słowa te tak wyrażały w tej chwili własne jego uczucia, że pchnięty wrażeniem, z jakiego sam sobie sprawy nie zdawał, on, szlachcic z rodu, uściskał ręką nieznanemu, ubranemu w szary kubrak mieszczaninowi...

Po wyjściu z kościoła hetman wszedł na koń i pojechał do obozu, by hufcom swoim ogłosić króla. Wkrótce też na całej linii szanów rozległy się grzmiące okrzyki: „Vivat! Niech żyje!“

Przeciągły odgłos dział towarzyszył okrzykom.

Dnia 27 Sierpnia Zamojski w największym porządku odcignął z pod Warszawy ze swojemu pocztą, podczas gdy obóz Zborowskich na niustannych biesiadach czas trawił.

(Dalszy ciąg nastąpi),

PO BŁĘKITNYCH MORZACH.

przez

Stanisława Maszewskiego.

(Dokończenie).

Rycerski zakon joannitów musiał opuścić wyspę Rodos przed naporem Turków. Cesarz, Karol V, darował mu Maltę na stałą siedzibę, a zakon przyjął nową nazwę, rycerzy maltańskich. Przez wieki bronią dzielnie swej wyspy skalistej, wytrzymują straszne oblężenia Turków. Wielki mistrz Jan Lavolette zakłada nową stolicę, dając jej swe imię. — W r. 1798 Napoleon, płynąc do Egiptu, zajmuje wyspę podstępem. Ale zaraz potem zamknęli ją pierścieniem floty Anglicy i po dwu latach oblężenia zdobyli. Zakon przestał istnieć na wyspie.

Przy małym placu stoi katedra św. Jana. Zbudowana w XVI wieku, jest Panteonem zakonu.

Wchodzimy do wnętrza. Ciężka, powaga, przepych. Sklepek wysoki, płaski, wspiera się na potężnych kwadratowych kolumnach, obok dwie mniejsze nawy. Całość w stylu barocco, przyozdobiona złotą, przybladłą sztukaterią niezmiernie bogato, ale z gustem, bez przesady. Wielki ołtarz z marmuru i srebra. Wokoło liczne kaplice, zamknięte ozdobnemi kratami, mieszczą grobowce z szczątkami rycerzy. Każda narodowość, liczniej reprezentowana w zakonie, ma własną kaplicę. U stóp kolumny wspierają się grobowce mistrzów z granitu, marmuru i brązu. Ołtarze zawieszane obrazami da Caravaggio.

W kościele cisza. Śpią rozsypane prochy rycerzy idei; od pysznych grobowców i kolumn technicznie znikomość ludzkich ciał i wysiłków, ale w nich zamknięta myśl wzniosła, która z nieba zesłała.

Człowiek czuje się wielką kruszyną.

Uroczyste legendy Homera zdobią najpiękniejsze zakątki nad morzem Śródziemnym. Zawistne losy rzuciły zbłąkanego Odyszeusza na czarodziejskie wybrzeża wysp, gdzie wśród cudów natury przemieszkiwały śliczne, zwodnicze boginie i nimfy. A piękny musiał być grek, bo niebianki te, skłonne do miłości, przenosiły go ponad bogi nieśmiertelne.

Oto, co sam Odyszeusz opowiada:

„Wśród morza pustych przestworzy wznosi się [wyspa samotna,
„Gdzie straszliwa Kalypso, córka Atlasa prze-
[bywa;
„Złote ją zdobią kędziory, ale w podstępach
[obrotna
„Bogów zraziła i ludzi — ztąd każdy wyspę
[opływa.
„Tylko mnie nieszczęsnego zapędził los w to
[zakłęcie,
„Kiedy Zeus prześladowczy rozbił mej barki
[ogniwa
„Swą błyskawicą ognistą — na morza sinym
[odmęcie.

„Sam się na wieki pożegnał z moją odważną [drużyną,
„Sam zaś za ster uchwyciwszy—i, broniąc się i rośląc ciche pragnienie, by kiedyś, kiedyś, po latach znaleźć się jakim cudem na owych brzegach Sycylii...
„Dni płynąłem tak dziewięć.

Aż wreszcie z bogów przyczyną

„Wyspem zlądował Ogygię w dziesiątą noc [bezgwiazdzą,
„Kalypso mile przyjąwszy sutą raczyła gościć, [wieczystą;
„A nawet chciała obdarzyć wiosną mnie życia [płonęło.
„Lecz nie wzruszyła mi serca, które do żony [rosiła,
„I tak lat siedem przebyłem, skraplając rzeką [pachnęło.
„Szaty boskie i wonne, od których fiołkami [w swej żalności—
„Aż rok ósmy napłynął — jam ciągle trwał [w swej żalności—
„Lecz—oto serce bogini nagłą litością się wzde- [to—
„Sama—lub z Zeusa rozkazu—mnie użyczyła [wolności
„Tratwy i wiosła dostałem—a z nią straszliwa [bogini
„Wina mi dała słodkiego w szat i różnych [wonności *).
(Pieśń VII).“

Odysseusz płynie—zawiedziona bogini błąka się samotna po zaczarowanych pałacach...

W zachodnich brzegach Malty jest „grotta Calypso.“

Ciężko się rozstać z uroczą, pociągającą wspomnieniami, wysepką.

Wchodzimy na obronne wały Valetty. Obok paszcz armatnich, stosów kul i naboju zielenią się małe ogródki, pełne kwiatów i dzieci, a co krok, na każdym zakręcie wału, w każdej framudze murów wznoszą się biusty i tablice pamiątkowe rycerzy zakonu, lub angielskich namiestników.—Przeszłość i terażniejszość współzawodniczą.

Wzrok sięga daleko. Cała wyspa—to wielki ogród, podzielony szachownicą murów. Niedgdy skały nagie i dzikie wytrwała pracą mieszkańców zmieniły się w pola tak urodzajne, że w pięćdziesięcioro wydają ziarna zasiane. Z pól zbiory dwa razy do roku. Obok zbożnych łąk zielenią się bujne gaje fig, pomarańcz i cytryn.

Z wyniosłego tarasu żegnamy ten obraz południa, jednolity, harmonijny, zachwycający szczegółami i całością. Miasto, pełne blasku słonecznego, potężne nagromadzeniem budynków, na wyniosłej żółtej skale, ujęte pierścieniem szafirowym zatok; wyspa lśniąca złudną nagością, zanurzona w ruchliwym kryształach wód niezmiernych, a tam w górze niebo jasne, jak lza—to chyba czarodziejska legenda o pałacach królewicza płynię z ust siwej babuni...

Sycylia.

Sycylia!.. Ile ten wyraz mieści wspomnień z dziejów świata, ile piękności w sztuce i przyrodzie!

Pamiętam—chłopcem jeszcze wczytywałem się w dzieje starożytne. Z drżeniem w sercu towarzyszyłem atenczykom do Syrakuz, pragnąc ich powodzenia; ze wzruszeniem patrzyłem na nieszczęścia i cierpienia szczątków wojska świętego, przykutych do pracy w kamieniołomach. Miasto Syrakuzy rosło w oczach moich do zaczarowanej potęgi i wspaniałości, a Dyonizyusze byli półbogami... Przymykałem oczy, by sobie uprzytomnić te obrazy dawno minionie i rozmyślałem o idealnej piękności tych wybrzeży, o bogactwie miast i potędze tyranów,

o wspaniałości świątyń, pałaców... Marzyłem o własnej przyszłości, a w sercu budziło się i rosło ciche pragnienie, by kiedyś, kiedyś, po latach znaleźć się jakim cudem na owych brzegach Sycylii...

Spełniają się pragnienia.

Wśród ruin teatru siedzę na złomie kolumny. U stóp wielkie półkole widowni stacza się, jak zwężona ku dnie waza; jej górne brzegi, ustrojone szczątkami kolumn, które wspierały portyk, wokół biegnący. W głębi, u spodu waza wyszczerbiona, wzniesiony lekko prostokąt był sceną długą, a płytka, scena wspiera się o ścianę wyniosłą z trzema łukowemi wchodami, między niemi obłamane kolumny i nisze na posagi. W dnie sceny czernią się otwory do przejść podziemnych.

Waza w kamiennej górze wykuta, ongi świetna—dziś stłuczona, sponiewierana, zczerniała.

Widownię obiegały rzędy siedzeń marmurowych. Tylko wyobrażenia je sobie odmalować może, bo ślad po nich trawą zarasta. Rozrzucone ułamki kolumn, rzeźbionych kapiteli stroi mech zielony; po szczybatych murach portyku pną się wiotkie bluszcze...

Nicość... ruina!.. Ale powoli zaludniają się marmurowe stopnie teatru. Grecy, w białych okryciach, wchodzą poważnie przez dziewięć wnijsz górny portyk, zstępują niżej, siadają. Teatr dachu niema, sklep niebieski przykrywa go swoim błękitem. Słońce jeszcze wysoko, przypieka. Słudzy teatru wdrapują się do kamiennych pierścieni w murze portyku, wkładają wysokie drażki i zaczepiają na nich końce purpurowej zasłony. Zaróżowiły się białe postacie siedzących; tysiące głów zwraca się ku scenie. Tam przez drzwi boczne wstępuje długi chorówód. Lutnia dźwięczy, chór śpiewa, zwolna obchodząc orkestrę. Kończy i staje przed sceną. Wielkim portalem wchodzą bohaterowie tragedji. Postacie wysokie, na koturnach, długie szaty do stóp się fałdują, na twarzach maski straszne; wykrzywione boleścią, z otwartymi ustami. Rozpoczyna się dyalog. Głosy donośnie rozbrzmiewają w akustycznym gmachu; widzowie zasłuchani pochyliłi głowy, w gładkich twarzach, w lśniących oczach maluje się rozkosz, obudzona melodyjnym dźwiękiem słów, tragiczną ich treścią.

Akt się kończy. Grecy wstępują do portyku, by ochłonać, odetchnąć. Stają, wsparci o kolumny i zwracają oczy na krajobraz przepyszny. — Głęboko w dole ciemno-szafirowe łono morza, oprawione w miękkie linie wybrzeży, które się pną aksamitami zielonemi stokami, aż do wyniosłych skalnych garbów. W głębi nieba, jak przezczysty lazur lśniącego, bieli się potężna piramida Etny, otulona w śniegi wieczyste—tajemniczy, a czarowny pałac boga Wulkana, gdzie ma kuźnię swoją. W spżowej tarczy Achillesa stworzył arcydzieło sztuki.

Wzrok patrzących snuje się po wytwornych liniach gór blade-niebieskich i złotych wybrzeży hen, daleko, aż do potężnej Syrakuzy, przebiega rozlane w nieskończoność szafiry morza i spocznie znowu na fioletowych górach Kalabrii, obramowanych przejrzystym puchem obłoków.

Dusza wspartego o kolumnę greka, kołysana przed chwilą rytmicznym dźwiękiem dyalogu, poruszona tragicznym węzłem dramatu—teraz zanurza się w młodych wiecznie wdziękach natury, w tym nektarze nimf i satyrów, co upaja zawsze, nie przesycy nigdy...

Wśród rozsypanych kamieni szeleści zeschłym liściem jaszczurka, zwinnie umyka i kryje się pod bluszczem zielonym. Pod murem wychylają się białe i różowe główki kwiatów wiosennych, pełnych życia. Wiecznie się odradzają świeże, nieskalane, jak wzniosła, zamarła przeszłość w głębi dusz ludzkich.

Już czas opuścić ruiny. Słońce chyli się ku Etnie, ścieląc róże na jej białą szatę—śle pożegnalne promienie, strumieniem jasności zalewając morze tęczowe i ponure olbrzymy Kalabrii. W cieniu Etny spoczywa Giardini, małe miasteczko, wstęgą rozciągnięte na brzegu;

a wyżej na skalistym wzniesieniu wdzięczy się Taormina, dawne miasto Tauromenium, dziś małe, ale uwieńczone wspomnieniami z czasów greckich. Ponad szaremi domami miasteczka i murami klasztoru sterczy zamek w ruinie, dawne Akropolis, później twierdza, zdobyta przez Maurów w X wieku. Mieszkańcy—dzieci, kobiety i starcy poszli pod miecz.—Jeszcze wyżej; jakby w amfiteatrze, gromadka domków kamiennych—to wioska Mola. Wzrok leci dalej, pnie się ku szczytowi góry Wenus, wokoło skacze po wygięciach i głowach skał ślicznych, kształtnych, różowych w świetle zachodu, głębiej zanurza się w zielen gajów cytrynowych, aż utonie w zaiskrzonym morzu. Tam wije się dym okrętu, jak welon żałobny, w dali srebrzą się wydęte żagle statków rybackich.

Słońce zachodzi w cień Etny—w niezmiernej przestrzeni rozlana harmonia...

* * *

Szukano rajy w rozmaitych częściach świata. Dlaczego nikt mu nie wyznaczał miejsca na Sycylii? Czyż może być piękniejszy płat ziemi? Uroki wyniosłych gór, morza, afrykańskiego klimatu, zwrotnikowej roślinności, ukrytych w gruzach zabytków dziejowych—wszystko przedziwnie się wiąże w pełen obraz głębokiej treści, stwarza pejzaż, jakiego pędzel na płótno nie rzuci.

Wrażenie czarodziejskie wyciska w duszy brzeg wschodni, od Giardini do Messyny, wsparty o góry Pelorytańskie i piramidę Etny, a nurzający stopy w szafirach Jońskich.

Do głębokiej, pełnej barwy morza dostraja się poważna, ciemna zielen gajów oliwnych,—lakierowana, lśniąca lasów cytrynowych i pomarańczowych, nakrapiana złotem owoców; białe żółte, czerwone domki i wille, czarne, ponure ruiny zamków, szaroniebieskawe szczyty gór obnażonych—harmonijna całość, skąpiana potokiem ciepłego światła, objęta czystym błękitem nieba, lub spowita ołowianą szatą chmur.

Linie wybrzeży pełne wdzięku, jak ramię greckiego posągu, wygięcia gór aksamitne, miękkie, jak łoża bogów w Olimpie.

Niema wcale jednostajności w rozesłanych krajobrazach. W zieleni cytrynowych gajów grupują się jasne miasteczka, albo czepiają się wysokich szczytów skał, jak orle gniazda, gdzie ich nie dosięgła krwawa ręka saracenów.—Bujny dywan ogrodów nagle przerwany szerokim łożyskiem potoku, nagiem, pełnym żwiru i ułamek skał.—Kaktus, wysoki, jak drzewo, mato-wo-zielony aloes z długim, mięsistym liściem, obrębła drogi i ścieżki, zdobi mury graniczne, pnie się po urwiskach i skałach.—Etna ubrała się w lasy szpilkowe i liściaste—stare dęby i buki; wyniosłe unosi śnieżną głowę, lśniąca brylantami, jak alpejskie lodowce.—Na urwistych szczytach, lub w głębi wysokich kotlin wdzięczą się oku wille gustowne i pałace, z wachlarzowatą, smukłą palmą w ogrodzie, obok z pod bujnej roślinności wycierają szczytate mury odwiecznych zamczysk.

Góry się obniżyły, cofnęły. Szeroka dolina faluje wzgórzami nad morzem, a morze spokojne wyglądziło zmarszczki i kładzie się wielką taflą ametystu. Niebo szersze, jaśniejsze, błękitną stopą wsparło się o śniegi Etny i pochyła się bliżej ku ziemi.

Na pochyłości wzgórz cypryjskie proste, nieruchome ścielą cienie wydłużone. Blade-zielone wierzyby rozwiewają długie, zwisające gałęzie, zapuściwszy korzenie w łona mogił darniowych. Pod laurem kłęczy postać niewieścia, złożyła ręce i rozwija skrzydła—w kamieniu wykuta. Nad białym krzyżem z marmuru palma szemrze długim liściem.

„Campo Santo“—święte pole zmarłych.

Na morzu i ziemi spójność niezmierny, słońce sieje promienie przez obłok wieczorny i rozściela różowe światło...

Cisza... zmrok... senny czar..., do pola cieniów dusza tęskni i płacze...

* Przekład T. Micińskiego.

Otrząsa się i leci w dal na północ, do wiejskich cmentarzy...

* * *

Na północnym widnokregu rysują się domy wielkiego miasta—to Messyna.

W roku 1783 straszne przewroty podziemne wstrząsły brzegami cieśniny. Okoliczne miasta legły w gruzach. Ztąd niezwykle wygląd Messyny; duża i handlowa ma budowy niskie, rzadko do trzech pięter dociągnięte.

Lukiem wzdłuż morza ulica pałaców. Z trudem wzrok śledzi za dawną świetnością.—przykryta nowemi murami, zawałona składami towarów, nikt nie sponiewierana siłą rozpętanego żywiołu i ręką człowieka. Tu i owdzie usiłowano przywrócić wspaniałość zagasłą; nad pięknem sklepieniem wchodu stanęły kolumny wysmukłe, uwieńczone w kapitale, aby wesprzeć górne piętro—ale groza nowego trzęsienia ziemi zniweczyła dobre zamiary. W szkielet pałacu wmurowane ściany prostego domu, a pyszny portal jest wejściem w poprzeczną uliczkę. Tam wąsko, ciemno, stragany z owocami zagradzają drogę; przy nich siedzą przekupki brudne, obszarpane, ale ceniące swą godność.

Przystań rozległą otacza wąski półwysep, jak księżyc na nowiu. Na ciemno-brązowej wodzie leżą grupami olbrzymie statki, przybysze ze wszędy części świata. Tysiące skrzyń i beczek zwalone w góry po wybrzeżu. Obdarci, zczerniali robotnicy dźwigają ciężary, wozy dwukolne skrzypią, windy huczą—obraz z XIX wieku.

Widok katedry przenosi w dawne romantyczniejsze stulecia. W normańskim stylu z XI wieku, po trzęsieniach i pożarach była odnawiana w gotyckim. Miłe dla oka podwójne łuki okien, na smukłych kolumnach biegnące długim szeregiem.

Messyna wspiera się o pochyłości gór.

Na gruzach normandzkiego zamku zasadzono piękny ogród. Ścieżki krążą pośród drzew strzyżonych, grot, wąwozów, grządek z kwiatami, do szczytków ruin. Wzrok uderza obraz niezwykle—tam w głębi równa, ściśnięta płaszczyna domów, krytych czerwoną dachówką. Nic jej nie przerasta, wież niema.

Spojrzenie sięga daleko na przylądek Faro, dzielący ostrzem długim dwa morza: Tyreńskie i Jońskie. Wody marszczą się potężnemi falami, rzucając garściami piany o brzegi; niebo zasnuło się chmurami, barwy popiołu; spadają wielkie krople deszczu.

Szaro i smutno, jak w jesienny dzień na północy...

Na golfie neapolitańskim w kwietniu.

Wiatr silny muska tak morze, iż się burzy, ciskając balwany wysoko na pokład okrętu. Księżyc w pełni strugami białego światła zalewa niebo i morskie odmęty—roje gwiazd przy nim pobladły, ale na ruchliwych wodach zapalają się nowych gwiazd plejady, w szalonym tańcu skaczące.

Pośród złotych godów weselnych nieba i morza statek czarny, zadymiony jest marną zabawką ludzką.

Bezbrzeżna samotność i siła bez więzów.

Północ. Z wrzących głębin wynurza się góra czarna. Szele długi cień na iskrzące morze, okrywa głowę chmurą, jak miedź rozpaloną—na kosztownej tkaninie księżycyca leży groźnie, ponuro, że aż drżenie do serca się wkrada.

Statek omija wiecznie pracującego olbrzyma—Stromboli.

Wiatr osłabł. Ogrzane ciepłemi promieniami słońca fale układają się do snu. Na północy urwiste prosto linijne skały z pośrodku morza wyrosły—to Capri. Spoczywa nieruchomo, jak potężny Cerber, broniąc wjazdu do ziemskiego Edenu.

Cieśniną między wysepką dumną, a ostrym przylądkiem Sorrentu wsuwamy się cicho do wnętrza zatoki. Starożytni nazwali ją czarą.

Zaiste drogocenna i jedyna w świecie. Brzegi wysadzone sznurem pereł urykańskich, całym wieńcem rozkosznych miast i wiosek, rubinami wysp, ametystami i szmaragdami przylądków, wielkim dyamentem Neapolu. Wspaniały róg Wezuwiusza, ornamentowany Sommą poszczerebioną i srebrnym obłokiem pary.—Czara burzy się po brzegi stopionym szafirem i złotem.

„Sen ze srebra i kryształu“

Gawot Maryi Antoniny

SZKIC FANTASTYCZNY

przez

Marcelego Strzemienieczyka.

(Dokończenie).

III.

Widzenie pierzchło. Maryetta urwała w polowie akord ostatni.

— Śpisz pan? zadzwieczał jej głęboki głos o lekko ironicznym brzmieniu. Znużyłam pana ustawicznym powtarzaniem tej sztuki. Ale, sama nie wiem z kąd mi dziś przyszła ochota do tej sentymentalnej melodii...

— Nie kuzynko, nie śpię, choć mnie wprost zahypnotyzowałaś swą muzyką... Co pani wyrabia, dobrze żeś mnie ocuciła z letargu... Wie pani? Gościłem przed chwilą w złoconych salonach Ludwików... Słyszę jeszcze szczebiot ust rozkosznych i szmer złocistych wachlarzy... Najpiękniejsza wśród pięknych, wyniosła, z jasną głową i dumnym wejrzeniem, miała twe rysy... Maryetta obróciła się do mówiącego na kręconym taborecie okrągłym, szeleszcząc ciężką materią swej białej sukni.

— Po co mnie pan straszysz? To zła wróżba, to pańskie porównanie do nieszczęśliwej, sympatycznej dla mnie monarchini francuskiej. A jednak i ona miała chwile szczęścia... Była kochaną przez tylu pięknych, szlachetnych panów i rycerzy... biedna...—mówiła jakimś sennym głosem Maryetta, bawiąc się koronką rękawa.

— Dziwnie bo lokalny koloryt ma salon pani, ciągnął Jerzy dalej. Odpowiedni zupełnie na tło sceny, która mi się odegrała w wyobraźni. To obicie błękitne ze złotem, te meble w stylu Ludwika XVI-go, haftowane w kwiaty, jak suknie naszych prababek, te sceny pasterskie na ścianach, nawet ta dzisiejsza toaleta pani, w której wyglądasz, jakbyś wyszła z ram portretu jakiego Watteau—wszystko to powtarzam, posłużyło mi do zupełnego złudzenia. Widziałem biały pałacyk pod lipami Trianon'u, lłkające wodotryski wśród altan z róż, i na tle zieleni, szumiących kaskad i drzew wciąż mi się majaczyła jasna główka królowej... Słyszałem nawet nutę jakąś starą, którą mnie nawiedziła jak w objawieniu sennem.. gdzie ja ją słyszałem?..

„Reine, qui tiens ma vie,

„Captive dans tes yeux

„Qui m'as l'âme ravie

„D'un souris gracieux...

„Viens tôt me secourir

„Ou me faudra mourir...“

Pani Maryetto, o czym myślała Marya Antoinetta, grając tego gawota. A więc była szczęśliwą, bo kochała, czy była kochaną, jak to pani przed chwilą powiedziałaś...—mówił Jerzy, zapatrzony w urocze zjawisko przed sobą.

Popatrzyła na niego, jakby nie słysząc zapytania.

— Staś tak się spóźnia... Już 10-tal czy mu się co stało? Dziwny niepokój ogarnął mnie nagle...

— Nic mu nie będzie... ręczę pani—zabałamucił się tylko na mieście swym zwyczajem, rzekł ironicznym tonem Jerzy.—Ale czemuż to pani... urwał nagle, i ciemna fala rumieńca oblała, aż pod jasne czoło wyraziste oblicze mężczyzny. Przygryzł usta do krwi, jakby chcąc je ukarać za pytanie, którego nie dokończył. Patrzyła na niego lekko zaniepokojona.

— Ale czemuż to pani nie uzupełniła swej toalety temi pięknymi kolczykami, które tak lubię? chciał spytać przed chwilą. Coś go wstrzymało, na szczęście, nie chciał robić jej przykrości... Kolczyki te, dane jej na podarunek ślubny, równie jak wiele innych klejnotów, spoczywały dawno w ozdobnej kasetce panny Niniche, ładnej, ognistej paryżanki, najmodniejszej w tym sezonie szansonistki, w której kochał się mąż pani Maryetty.

— Wybacz pani dziwne moje dzisiejsze „nieobecności myśli“, żartował Jerzy. Ale i pani jakos niewesoło spuszciałaś główkę, jedyny dyssonans w stylowym twym stroju. Szkoła bo i byłoby obśypywać pudrem te jasne, złociste włosy... Ale pani coraz smutniejsza... dziś, przed balem, jakże można? Proszę się rozchmurzyć.

— Bawię się tak rzadko, panie Jerzy, a takie już moje przeznaczenie, że najmniejszą przyjemność muszę mieć zatrutą—choćby i ten bal dzisiejszy, na który tak się cieszyłam... Niepokoję się o Stasia, gdyż od pewnego czasu wciąż uskarża się na szalone bóle głowy, zawroty, chwilami ma jakby zanik wzroku... Nie szanuje się, wiem, za dużo bawi się po za domem... Ale, co ja widzę, rzekła Maryetta, wracając do dawnego żartobliwego nastroju. Wszak to pan nie ma jeszcze przypiętego kwiatu do fraka? Proszę, wybierz pan sobie coś ładnego z bukietu stojącego, ot tu, na kominku, rzekła, wskazując na majolikowy wazon pełen różnobarwnych kwiatów.

— Ja poproszę panią o pozwolenie noszenia dzisiejszego wieczoru kwiatu chryzantemy, jak wierny rycerz, występuję tylko pod barwą pani swych myśli... głos młodzińca drżał trochę. Proszę panią o przypięcie mi tego oto złocienia, mówił, patrząc wymownie w pobladłą twarz kobiety, która zawałowała się chwilę.

— Z moją ogorzałą twarzą wieśniaka i bujną czupryną, mówił dalej, jam tak zgoła niepodobny do kawalera Lauzun, lub Castelnau... prawda, pani Maryo? złożył lekki pocałunek na różowych paluszkach, które drżały trochę.—Dziękuję pani.

Zamilkł, przesuwasjąc rękę po czole.

— Nie obawiaj się, pani, jakiego niewczesnego wybuchu z mej strony. Dałem ci słowo, że nigdy cię nie zaniepokoję słowem lub gestem i staram się dotrzymać przyrzeczenia.—Wstał z krzesła, i gorączkowym krokiem przeszedł raz czy kilka po puszystym dywanie tłumiącym wszelkie szmery. Ona ze spuszczoną głową obserwowała go ze smutnym spokojem.

— POCO pani jesteś dziś piękniejszą niż zwykle? poco mąż pani zostawia nas tak często samych we dwoje?—syknał przez zaciśnięte zęby, zadržując się przed pianinem.—To nierozważnie i niezręcznie z jego strony—on wie przecież, że kocham cię nie od dzisiaj... i sam pasuje mnie na godność przyjacielu domu...

Maryetta podniosła głowę, w zielonych jej oczach błysły dwie złote iskiereki, jasne, śmiałe, igradem tych zimnych spojrzeń karciła krewniaka.

— Proszę się nie obmawiać, panie Jerzy, rzekła wreszcie.—Nie dla pana rola przyjacielu domu w znaczeniu złem i banalnym. Pan jesteś człowiekiem szlachetnym, kuzynem moim i przyjacielu z lat dziecińczych... z czasów Grabowa...—dokończyła, patrząc gdzieś wzrokiem w dal, nietylko przestrzeni, ale czasu, życia, cierpień może..

Po raz setny może przykuła czarodziejka do ust jego wyrazy niewymówione, pałace mu wargi. Głos jej był pewnym i czystym, choć oczy ukryły się znowu po za rzęs zasłony.

— POCO mi pan chcesz odbierać pogodę i jasność naszej przyjaźni? Tak mi dobrze z panem, ufno, cicho, w duszy, jak w Grabowie, przed laty...

Zamyśliła się znowu, głębiej niż poprzednio... czy o mężu goszczącym w klubie, lub przy bo-

ku panny Niniche, czy o obecnym Jerzym?.. czy o sobie i swych smutkach tloczących ku ziemi małą jej główkę... któż to zgadnie?

I znów zabrzmiął gawot, lecz szarpiany nerwową ręką, dźwięczał urywanie, nierówno, bez poprzedniej ciągłości i pogody...

IV.

Zegar na alabastrowym postumencieki wydzwaniał zwolna, miarowo kwandranse, kwiaty pachniały, salon był pełen dźwięków, światła i woni.

Jerzy powstał z nagłą determinacją w bladej twarzy, i stanął tuż przed pianinem, pochylając się nad grającą.

— Czy pani wie, pani Maryetto, że od tygodnia jestem właścicielem Grabowa? spytał spokojnie.

— Co? Grabowa? Pan kupiłeś Grabów? Panie Jerzy... Mój Boże... Ręce jej padły wzdłuż sukni, ciemne oczy zaświeciły dziwnie za błonkami.

— Tak, pani. Odkupiłem go na własność. Tyle lat nosiłem się z tym zamiarem... teraz dopiero udało mi się spełnić to gorące marzenie mego życia. Jak tam ładnie, i teraz nawet, choć to zima, i natura spi obumarła, czekając na gorący pocałunek wiosny. Przebiegałem, już jako właściciel, te nieskończone lipowe aleje i szpalery, ogołoczone z liści... Wszędzie, wszędzie szukałem śladów dziecięcych stóp małej Maryetty w perkalowej sukience... Jak romantyczny pasterz arkadyjski upatrywałem naszych imion, wyciosanych na chropowatej korze tego wielkiego orzecha w głównej alei... pamiętasz? i... śmieję się pani, zdawało mi się, że odczytuję litery skreślone ręką dwojga szczęśliwych dzieci, które nie wiedziały wówczas, co życie i jego niespodzianki.

Zwałaś mnie wtedy braciszkiem Jurasiem... razem chowaliśmy się...

Maryja wstała, przyciskając rękę do falującego łona. Oczy jej mieniły się jak opale. Z zapartym oddechem wsłuchiwała się w słowa Jerzego. Przypływ wspomnień porwał ją, a wspomnienia są potężnym żywiołem...

— A ten wiaz rozłożył na dziedzińcu, stoisz on jeszcze?— spytała.—A wierzby nad stawem jak musiały wybujać!.. Mój Boże... a kapliczka w końcu ogrodu, jak pewnie pochyliła się... obrosła mchem... Szczęśliwy pan! co ja mówię? wybacz... czyż i dla pana miejsce to może być tak drogiem, jak dla mnie com się tam urodziła, gdzie znam każdy kamyk i liść niemal, gdzie wiatr wieje inaczej, wody szemrzą pieśni które ja tylko rozumiem... bom się w nie wsłuchiwała uchem serca i ufności w przyszłość...—Ileż to lat... Twarz jej zaróżowiła się barwą jutrzenki, posagowe rysy ożywił wyraz ognia i zapалу... Tak piękną była... tak przeobrażoną wspomnieniami.

Jerzy patrzył na nią z miłością.

— To stać się musi... musi, szepnął do siebie. Podniósł głowę, ujmując drobną dłoń kobiety.

— Pani wiesz dla czego ja kupiłem Grabowo? Kupiłem go dla pani... rzekł ze szczególnym naciskiem, dziwiąc się sam w duszy beżmiernemu spokojowi, z jakim wymawiał słowa, od których życie jego zawisło.

Ona stała nieruchoma.

— Nabyłem to drogie ci gniazdo rodzinne, aby je złożyć u twych nóg, jedyna, abymy tam mieszkali we dwoje... abys odnalazłszy tam święte wspomnienia dzieciństwa, poznała co to jest życie u boku kochającego człowieka. Nie drzyj tak, nie blednij, nie groź oczami.. Ja wiem wszystko, pani! wysłuchaj mnie!—Głos jego nabrał pieszczonego dźwięku—ojcowskim niemal ruchem chciał objąć kibić Maryetty i przyciągnąć ją ku sobie. Ale się usunęła smutnie.

— Tyś nieszczęśliwą nie od dzisiaj w niedobrym związku zawartym na rozkaz twej biednej, nieopatrnej matki. Nic was nie łączy z sobą, nawet szanować go nie możesz, tego człowieka

który łamie i targa twe serce.—Zezwól na rozdół, pomyśl że życie długie, że stoisz u progu zaledwie!—Maryja ukryła twarz w dłoniach. On, kusił dalej półgłosem:

— Pamiętasz ten kamień okrągły za ogrodem?

„Stoi dotychczas, tylko mchem, obrosły,
„Ledwie go dostrzegł... obmyłem go łzami—
„Siedzenie z darni, gdzie po letnim znoju
„Lubiłaś spocząć między jaworami,
„Źródło, gdzie szukał dla ciebie napoj
„Jam wszystko znalazł, obejrzał, obchodził—

Zachwiała się. Cała młodość jej łączyła się z temi słowami poety. Na usta jej wybiegły jakby mimowolnie słowa Konrada:

„Wszystko jak dawniej, też lasy, te kwiaty,
„Wszystko jak było owego wieczora,
„Gdyśmy dolinę żegnali przed laty—
„Ach! mnie się zdaje że to było wczora!”

— Tak, najdroższa, zdaje mi się że to było wczoraj, gdyśmy się widzieli raz ostatni przed moim wyjazdem na uniwersytet, tam w Grabowie, pod lipami—Pamiętasz? miałaś niebieską sukienkę i lzy wielkie spadały ci z oczu na moje ręce—ta droga ławeczka... Pamiętasz? czytywałem ci na niej Mickiewicza... jak płakałaś nad biedną Aldoną! i teraz płaczesz... czego? będziemy szczęśliwi, obaczysz... od ciebie tylko zależy... Może i nasza dolę znowu nadziei listek zazieleni—jak zazielenią się z wiosną te wierzby i graby sadzone ręką twych dziadów, ciągnął, przyciskając do ust zimne rączki ukochanej. Patrz, tyle lat zmarnowaliśmy jedyna! Ty u boku człowieka którego kochać nie możesz, ja stojący na progu jesieni... Milczałem tak długo, nie chcąc ci mącić spokoju i rozrywać w twej duszy ran zasklepionych... Kilka miesięcy temu, bawiąc u rodziny na wsi, przejeżdżałem przez Grabów. Dziwny głos jakiś, który błogosławie, rozkazał mi nabyć to miłe nam ustroenie... zgadłem że ono mi twe uczucia wróci na własność, wiedziałem jak je kochasz... wiesz już wszystko. Maryja oparła głowę na rękę, przymknęła oczy, oddychała głęboko, wsłuchując się w słowa płynące byстрыm potokiem z ust drogiego, czuła teraz jak bardzo jej drogiego człowieka, i—pasowała się w sobie w skupieniu.

— Ty ukochana, święta moja! której białe czoło opromienia taki blask niewinności! Nigdy grzeszna myśl nie powstała w mej duszy ty wiesz, do ciebie zbliżałem się jak do ołtarza ze czcią i nabożeństwem. Nigdy ust twych nie dotknąłem, choć wrzała we mnie burza pragnień. Jam wieśniak prosty i uczciwy, nie rozumiem innej miłości jak prawą, legalną... Tyle lat kocham cię... Powiedz czym kiedy cię obraził pan? Dziś wybuchnąłem, nie mogłem dłużej... bo widzę że i ty męczysz się ukochana, że i ty kochasz mnie, prawda? Nie mów nie... odpowiedź wyczytałem sam z ócz twoich.—Zachwyconym wzrokiem ogarnął całą postać młodej kobiety.

— Jaka piękna moja królowa! szepnął. Tak mi dziś obca w tej wspaniałej szacie... Wiesz ty, wybuchnął znowu, za coś mi ty tak droga? Za twą cichość pogodną i poświęcenie bez frazesów... Spotkaliśmy się lat temu parę po latach przy fotelu umierającego stryja; byłaś blada, wymizerowana, ślaniającą się na nogach z beżsenności i niewyczasu, trzymając rękę na spotniałem czole umierającego, podtrzymującą jego głowę osłabłą... Zona jego i córki zasnęły, wyczerpane, tyś czuwała... Jak mi się wydałaś piękną wtedy w brzasku porannym, zabarwianym niebiesko szyby pokoju. Z jakim spokojem zamknęłaś powieki staruszka... bez drżenia i strachu... Potem uklękłaś modlić się... Pamiętasz? Był to Nowy Rok... odprowadziłem cię do domu po tak ciężkich chwilach... pusto było jeszcze na ulicach, zmęczona, oparłaś się na mojem ramieniu... Miałaś w oczach blaski spokoju i jakiegoś zadowolenia głębokiego—od tej chwili pokochałem cię na śmierć i życie. Odżyły dawne wspomnienia,

lecz serce krwią zapłynęło, gdyem spostrzegł że nie jesteście szczęśliwą... Zacząłem bywać u was, odnowiliśmy dawną zażyłość, jedynym cierniem był i jest dla mnie niewytłomaczona sympatya twego męża—to mnie gnębi bom uczciwy człowiek, a jednak zadać mu cios muszę i odebrać dobro, którego cenić nie umiał nigdy. Nie zarzuci mi jednak, że podstępnie, jak złodziej ukradł mi jego własność... Działałem otwarcie, ty mię poprzesz.

Maryja wdrygnęła się mimowoli...

— A następnie, nie tak dawno temu, gdyem cię widział pielęgnującą starą siostrę twego męża, której nie lubiłaś, biedną histeryczkę, z nieuleczalną chorobą... Tyle miesięcy byłaś jej dozorczynią, lektorką... Wątle twe ramiona Maryo, umięją dźwigać niemałe ciężary...

— Kto wie?—westchnęła Maryetta z półśmiechem rezygnacyi.—Może los przeznaczył mnie na całe życie na szarytkę szpitalną lub garde-malade. Moi chorzy dotychczasowi zawsze byli zadowoleni ze mnie. Kobieta może przenieść istotnie bardzo wiele, a my szczególnie, filigranowe blondynki, posiadamy jakiś wyłączny przywilej wytrwałości i siły...—Zamilkli oboje. Nagle Maryja zdrząła...

— Słyszałaś, panie Jerzy? co to było? tam w bibliotece... Jakiś jęk... westchnienie...—ktoś mnie wołał... jakby głos mojej matki... o, ja się boję...

— Nie, dziecko, zdenerwowana jesteś... zdawało ci się, to wiatr targa gałęziami akacyi i rozsypuje śnieg po szybach.

— Panie Jerzy, mnie się zdawało, że jakiś cień przemknął się po ścianie tamtego pokoju... widzisz, jaka jestem jeszcze, mój Boże naiwna—My takie wszystkie dziecinne, nie odchodź Jerzy... dobrze?...

— Nie odejdę, jedyna, nie bój się. Ty moja! Taka to moja pani odważna... boi się urojeń... widm—a nieładnie! To cień przejeżdżającej do rozki zarysował się na jasnym obiciu!...

— Panie, to już niedługo północ chyba... ale patrz... zegar stanął nagle... jakie to niemiłe... śmieję się ze mnie, panie śmieję, ale jest coś złego... coś się dzieje źle...—głos jej wibrował przestraszonym.—Panie Jerzy, —wybuchnęła nagle chwytając go za rękę.—czy to wszystko... te nasze wspomnienia... czy to także urojeń, mara? O nie! nie!

Blada, z rozwartymi szeroko oczami. patrzyła to w przestrzeń, to na kuzyna.

On, mimowoli przejęty jej przestraszonym, usiłował ją uspokoić... Coś ciężkiego zawisło nad nimi w pokoju, jakby niewidzialna a ciężka zasłona...

— Kocham cię, —mówił—będziesz moją... żoną... —i ujął z pieszczotą jej rączki, przemawiając słodkim głosem jak do wylęknionego dziecka. Zapomnieli stopniowo o chwilojwej trwodze.

On wrócił do swej namiętej wymowy, ona do bohaterkiego spokoju wśród krótkich chwil rozmarzenia.

V.

Gwałtowne, nagłe szarpnięcie dzwonka rozległo się w przedpokoju.

— To Staś... Boże!

— Nie bój się, pani, jam przy tobie, bądź mężną, to się stać musi.

Głuchy hałas wszczął się na schodach frontowych, urywane, zdyszane głosy rozległy się. Po chwili do salonu wpadł wysoki, wytworny mężczyzna, jak oszalały z przerażenia i grozy, ogładając się wokoło, z rękami wyciągniętymi przed siebie.

— Maryo! gdzie jesteś? Maryetto! Nie widzę cię!

Jak kamienne posągi patrzyli oboje i nadbiegła służba na niezrozumiałą dla nich scenę.

— Mówię ci, Maryo! nie widzę cię. Maryo! Jam ślepy! Rozumiesz?

I zaczął mówić bezładnie, gorączkowo, wyrzucając z siebie potoki wyrazów bez związku

Kronika działalności kobiecej.

— Coś mi pękło w skroniach... To być nie może... Chyba by nie było Boga w niebie... Ciemno mi... ciemno, ciemno! — zasycał głosem nieludzkim. — Rozumiecie? ciemno!... Nie widzę nic! ha! ha! Maryo! moja żono! Jesteś tu? przebac! nie opuszczaj mnie! ja taki biedny... Ona... ta kobieta... szydziła ze mnie jeszcze, gdy się to stało... w restauracji... Tyś anioł, wiem, tyś anioł, nie taka... przebac, ja cię udęczałem, ratuj, przebac, zostań, zostań przy mnie! Okramiujem cię dla niej, tak, jestem nikczemny!

Jerzy ukrył twarz w rękach, usuwając się na krzesło. Marya jak wkuta w ziemię stała nieruchoma, jak widmo blada.

— Lecę w przepaść jakąś! — biadał nieszczęśliwy. — Słyszycie? w przepaść! Kto mnie tu przywiódł? nie wiem, nie pamiętam, czy tu nikogo nie ma? tak cicho... — Omackiem znalazł fotel i ciężko osunął się w niego. — Dawno mi to przepowiadali doktorzy... ha! Za wiele piłem, hulałem... wino i kobiety, kobiety i wino... i kara teraz... kara... śmieją się... kto się tu śmieje? czy wy nie macie sumienia? Mówię wam... jam ślepy, taki młody!

Zatrząsał głową, zgrzytając zębami.

— To ty Jerzy? Ratuj mnie! Tyś mój przyjaciel, kochasz mnie... nie widzę nic... a w mózgu huczysz... huczysz... Mój Boże! A może ja wam przeskadzam? Mówcie! wy się kochacie... wiem...

Gwałtownym ruchem zaczął rozrywać na sobie ubranie, gryść ręce i drzeć włosy z głowy.

— Dajcie rewolwer! Nie mogę! Dajcie! Palnę sobie w łeb i raz skończę! Tak żyć... nie mogę... taki młody... noc, noc, wieczna noc... Boże miłosierny, zmiłuj się nademną, ja sam, sam... ona mi nie przebaczy... Kto tu? — zerwał się na nogi, — kto tu przy mnie?

— To ja, twoja żona, Marya...

Pani Maryetta cichym, równym krokiem przeszła salon i stanęła przy mężu, kładąc mu rękę miękko na ramieniu.

Dziwny obraz przedstawiali oboje. Ona w swej białej wieczorowej sukni, zastygła w niemym bólu rezygnacji, on we fraku zmiętym, ze zwichrzoną głową chwytający gorączkowo jej rękę.

Objęła macierzyńskim ruchem pochyloną głowę kaleki. Dwie wielkie łzy stoczyły się z jej rzęs i spadły na białe chryzantemy stanika. Spojrzała słodkim, spokojnym wzrokiem na Jerzego, stojącego opodal i uśmiechnęła się przez łzy, usta jej drgały... a na czole miała jaśniejące słońce poświęcenia.

W Jerzym zamierało serce, ale postanowił okazać się godnym tej istoty. Ze czcią, jak przed świętą uchylił kolano przed młodą kobietą, która ruchem łagodnym, bezwiednym, prawie położyła drugą dłoń jakby błogosławiąc na jego głowę. Rzucił jej długie spojrzenie wchłaniające w siebie jej postać białą — poił nią wzrok... wszak ona nigdy jego nie będzie, nigdy... Wstał i wyszedł z salonu.

Na schodach jeszcze ściagała go melodia gawoty Maryi Antoinetty:

„Reine, qui tiens ma vie,
„Captive dans tes yeux,
„Qui m'as l'âme ravie,
„D'un souris gracieux
„Viens tôt me secourir,
„Ou me faudra mourir...“

KONIEC.

— Panie L. Rembielińska, A. Rzążewska i J. Lisowska miały bardzo dobrą myśl założenia w Warszawie księgarni; pod umiejętnym ich kierunkiem, przy nakładzie usilnej pracy, księgarnia idzie pomyślnie, a właścicielki zamierzają wypełnić te braki w literaturze popularnej, które najbardziej do dziś odczuwać się dają. Wzięły się już do dzieła od ręki, i mamy już oto dwie ładne książeczki z szeregu: „Taniach książeczek dla młodzieży.“ Nr. 1. *Burza*, ołrazek z dziejów Lwowa, przez Teresę Jadwigę, z rycinami, i Nr. 2. *Dwaj Mistrze*, przez Teresę Jadwigę, z portretem Chopina i Moniuszki. O tych obu książeczkach pisałam obszerniej w sprawozdaniu z książeczek dla młodzieży (Nr. 5 „Bluszczu“), a obecnie dodać muszę, że serdecznie pożądanym jest jak najdłuższy ich szereg. Do najświeższych wydań tej kobiecej księgarskiej spółki należy bardzo ładnie przystrojona w ryciny i piękny papier książka p. t. „Wśród lodów“ przez Wacława Sieroszewskiego (Sirkę). Drugą popularną i pożyteczną książeczką jest „Żywot Beldonka“ przez Adolfa Dygasińskiego, z rysunkami Z. Stankiewiczówny. Księgarnia spółkowa zamierza na przyszłość wydawnictwa różne dla dzieci, młodzieży i ludu, powiastek, zbiorów odpowiednich poezji, pieśni i opowiadań, o czem zawiadamiać będziemy czytelników naszych, a na razie z serdecznym słowem zachęty powitać nam przychodzi trudy i zabiegi, które, dodać musimy, niemało mają różnych przeciwności w powodzeniu przedsiębiorstwa, choćby właśnie dlatego, że jako kobiety wzięły się do nowego zawodu. Zdaje się, że raczej po koleżeńsku powinny się odnieść do nich ci, którzy zdobyli sobie z czasem i doświadczeniem i większą swobodę pracy.

— W Schronieniu Nauczycielek, tej tak sympatycznej instytucji, na której czele stała nieodżałowana s. p. Józefa Kamocka, ustalila się już nowa przełożona p. Piasecka z dotychczasowym składem zarządu. Nadmienić trzeba, że każda nowa władza napotyka na trudności, nim w pewną rękę ujmie ster rzeczy, zatem wśród takich przemian, członkowie powinni tem gorliwiej spełniać przyjęty na siebie obowiązek, wnoszenia rocznej składki; tymczasem inaczej się dzieje, i nowa przewodniczka będzie narażona na bardzo trudne zadanie walczenia z ludzką niesłownością i na wynik jej jeszcze trudniejszy — pieczenia chleba z — niczego, co przechodzi możność wszelkiej władzy. Przypominamy

zatem, mianowicie paniom należącym do Schronienia jako członkowie, aby zechciały z gorliwością na czas przypominać sobie, że to już Marzec, a składka roczna powinna wpłynąć całą od członków w — Styczniu. Tak... każe porządek. Zobaczymy jak podyktuje poczucie obowiązku.

— W francuzkiem piśmie *Journal des femmes* drukuje pani J. Vogelot długi list otwarty o potrzebie założenia we wszystkich krajach centralnych biór, któreby się zajmowały szczegółowo tak szeroko się już rozwijającym ruchem pracowniowskiej. Mianowicie kiedy chodzi o wspólne jakieś działanie wobec władz i rządów przy podawaniu petycji i t. p. przydałyby się bardzo takie, jednoczące ogół dążeń kobiecych, instytucje, które przemawiając za sprawą działalności kobiecej, miałyby za sobą powagę liczebną swych uczestniczek. W Niemczech pełni to zadanie, już poniekąd w formie wystarczającej, ogólny Związek niemieckich kobiecych stowarzyszeń, do którego należy już 79 związków różnego rodzaju. Zauważyć tu muszę, że nie ma w Europie całej pisma osobnego, któreby się specjalnie zajmowało śledzeniem postępów ruchu niewieściego, a nie stojąc na żadnym skrajnym, wojującym gruncie, było sprawozdawcą tylko ścisłym i dokładnym rozwoju kobiecej działalności na wszystkich polach i we wszystkich stronach świata. Pismo takie mogłoby naturalnie wychodzić tylko w języku przystępnym dla ogółu cywilizowanego świata, francuzkim lub angielskim, ale mieć za współpracowników kobiety najwybitniejsze różnych narodowości, któreby dawały obraz położenia rzeczy w swych miejscach rodzinnych. Pisma takiego nie ma, a sprawa miewa chwilowe przystanki w wieloletniej, co prawda pismach dla kobiet, w których jedynym nie jest ona głównym celem i rozwinąć się, jak jedna z idei naszego końca wieku należycie nie może.

— Miss Emma Beckwith osiadła w Nowym Yorku jako lekarz-okulista.

— Panna Hu-King-Eu, która w jednym z uniwersytetów Ameryki północnej otrzymała doktorat medycyny, zamianowana została obecnie jako lekarz w szpitalu w Fantchon. Więc i w Chinach czyni się jaśniej na horyzoncie postępu i oświaty.

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza“ dołącza się: arkuszy 15-ty powieści, p. t. *Masarenowie* przez Ouidę. Przekład Z. S.

OD WYDAWCY.

„Bluszcza“ w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasowymi warunkami.

Szanownym prenumeratom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Treść: Z głębi ducha, przez Szczęsną. — Gliński w dramatach. Z okazji wystawienia „Amanzora“, przez Artura Oppmana. — S. p. Eleonora hr. Kounicowa, przez Antoszkę. — *Bezkrólewie*, powieść historyczna w 2 ch częściach, przez Maryę Łopuszańską (dalszy ciąg). — *Po błękitnych morzach*, przez Stanisława Maszewskiego (dokończenie). — *Gawot Maryi Antoniny* szkic fantastyczny, przez Marcelę Strzemięńczyka (dokończenie). — *Kronika działalności kobiecej*.

Dodatek obejmuje: *Masarenowie*, powieść, przez Ouidę, arkuszy 15-ty. Przekład Z. S. — Przegląd mód. 41 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycje obiadu.

Warszawa. — W Drukarni i Litografii Tow. S. Orgelbranda Synów, Krakow. — Przedmieście Nr. 66. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg. Дозволено Цензурою. — Варшава, 25 Февраля 1898 г.